№ 32. Wilno, dnia 1 Listopada 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Marya Majchrowiczówna.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Cichy cmentarz Legjonowy
ozłocony liściem brzóz . .
Śpiewa z cicha gaj brzozowy,
lśni na listkach szronu mróz.

Srebrnoszary mrok zapada,
tajemniczy, gęsty mrok.
Grobów budzi się gromada,
duchów cichy szemrze krok.

Wstają z mogił Legjoniści,
w oczach łza radości drga,
idą jaśni, promieniści:
bo pobudka znów im gra!

Idą starzy, idą dzieci,
zmartwychwstali w cudów noc,
zapał męstwa w oczach świeci,
bohaterska święta moc!

Sztandar duchów rozwinięty
Nad głowami sieje blask,
a Wolności pożar święty
lśni czarami Bożych łask.

Idą, jak szli kiedyś w boje
idzie dzielny, męski huf,
kiedyś krwi wylali zdroje,
dziś chcą świat ten ujrzeć znów.

Bohaterskie lśnią pałasze,
aż jaśnieje grobów gaj.
Szepcą: „Gdzie to dzieło nasze,
krwią kupiony, wolny kraj?“

Wszak nie mogła płynąć marnie,
serc młodzieńczych wrąca krew,
z żyć oddanych tak ofiarnie
błysnąć musi życia siew!

Nie daremny trud Legjonów,
bohaterski, święty trud,
płynie z pieśnią polskich dzwonów
i o Boży błaga Cud!

Mogiłami się okryły
ciche łąki polskich traw.
Boże, policz te mogiły
i przez krew ich Polskę zbaw!



Obrona Trembowli.

W Małopolsce Wschodniej, nad rzeką Gnieznà, leży niewielkie miasto Trembowla. Stary to polski gród, bo już Kazimierz Wielki wzmacniał i przebudowywał tam zamek. Późniejsi królowie polscy również o Trembowli pamiętali, bo tamtędy zazwyczaj szły napady na Polskę Turków i Tatarów. W obronnym więc zamku łatwiej było bronić się przed wrogiem, tu zazwyczaj zbierała się cała ludność okoliczna, kobiety i dzieci chroniły się przed strasznemi pohańcami, którzy mężczyzn przeważnie zabijali, chłopców młodych wychowywali na wrogów Boga chrześcijańskiego i Ojczyzny, a kobiety sprzedawali do niewoli na targach.

Słynna obrona zamku trembowelskiego w roku 1675 pamiętną jest w dziejach naszych. Za panowania króla Jana Sobieskiego ogromne wojska tureckie wpadły do Polski, paląc i rabując wszystko po drodze. Król Jan Sobieski ściągnął wojsko pod Lwów, a obronę Trembowli powierzył Samuelowi Chrzanowskiemu. Zamknął się do-

wódca w zamku, w którym oprócz załogi wojskowej, złożonej z 80 ludzi, było dużo ludu wiejskiego, kobiet i dzieci. Kto żyw ten szukał tu ratunku, bo zewsząd szły wieści o ogromnej sile tureckiej, prowadzonej przez wielkiego ich wezyra Ibrahima. Nocami zapalały się ogniste łuny na niebie. Turcy to po drodze palili wsie i grody polskie. Każdego też dnia oczekiwano, że u stóp góry zamkowej, w wyludnionem mieście stanie wróg straszny. Pan Chrzanowski gotował się do obrony, ściągał też żywność, bo ludzi w zamku było bardzo wiele i trzeba było strzec się by i drugi wróg—głód tam nie zajrzał.

Dzielną miał pan Samuel pomocnicę w żonie swojej. Pani Anna Dorota od świtu do nocy była na nogach. Jako mądra i rozważna gospodyni pilnowała wszystkiego. Sama wydzielała żywność, opatrywała chorych, uspakajała przerażone kobiety.

Niedługo czekano na gości. 20-go września tureckie armaty uderzyły w stare mury grodu. Jak z piekielnych paszczęk, tak z dział nieprzyjacielskich, padały na dach i wały zamku ogniste granaty, pękały z hukiem i odłamkami raniły mężnych obrońców. Pan Chrzanowski nie próżnował i odpierał dzielnie napastujących. Dzień i noc był sam na nogach, a przykład jego zachęcał i innych do obrony. Na wdzierających się na wały Turków sypano gorącym popiołem, lano wrzątkiem i gotującą się smołą. Ale było ich jak mrowia. Co się zepchnęło dziesięciu, to już na ich miejsce szło stu. Przeszło 10 dni bronił się tak zamek trembowelski. Czekano wciąż, że Jan Sobieski przybędzie z pomocą, a tu dnie i noce schodziły, król nie przybywał, a z każdym dniem ubywało obrońców. Jedni padli zabici, inni ranni leżeli, lub zmogła ich ciężka choroba, która w zamku panowała. Już i żywności brakło. Byli też ludzie słabszego ducha, którzy głośno mówili,—nie strzymamy, trudno, trzeba zamek oddać Turkom, bo nas wszystkich i tak wymordują.

Pani Chrzanowska ani przez chwilę o tem nie pomyślała. Już nietylko jadło ludziom rozdawała, i o chorych myślała, ale często gęsto sama szła na mury i wspólnie z mężczyznami kierowała obroną, tu popiół sypie na

pohańców, tam znowu straż trzyma, tu kamienie dźwiga, tu zatyka dziury, wywiercone w murach tureckiemi kulami.

Turek widząc takie męstwo Polaków chytrością postanowił ich zwalczyć. Wysłał posłów do Chrzanowskiego i kazał mu powiedzieć, że jeśli tylko odda dobrowolnie miasto, to nikomu krzywda nie stanie się.

Jak to posłyszała załoga, tak że już siły były bardzo małe, zaczęła prosić dowódcę, by zgodził się wrota zamku Turkom otworzyć. I póty go proszono, póty błagano, aż pan Samuel Chrzanowski uległ prośbom i namowom i siadł pisać list do Ibrahima, że jeśli mu obieca wszystkich z zamku wolno puścić, to on mu bramy jego otworzyć każe.

Pisał ten list dowódca, a serce mu się krwawiło. Trudno, żądają tego wszyscy.—Wtem do komnaty, w której pisał, weszła żona, trzymając nóż w ręku.

— Jakto!—zawołała,—ty mój mąż, Samuel Chrzanowski, któremu król obronę tego zamku powierzył, ty chcesz oddać go Turczynowi! Ja na to nigdy nie pozwolę. W niewolę turecką nie pójdę, a jeśli ten list wyślesz, to tym nożem, wpierw ciebie, a potem siebie zabiję! Wstydu i hańby nie dam ci uczynić. Na mury i wały, mężu mój, śpieszmy! Za mną wszyscy panowie rycerze, brońmy się póki tchu w piersiach!

Zawstydzili się rycerze, strach ich odleciał. Porwał się i pan Samuel, posłów z niczem odprawił, a sam na wały poszedł. Nowe szturmy przypuszczali Turcy, zamek szedł w gruzy, ale załoga już nie myślała o poddaniu się.

Aż dnia 4 października, Turcy w popłochu zaczęli uciekać. Nadszedł z wojskiem Jan Sobieski.

Wyszli go witać ludzie podobni do widm śmiertelnych, ale radośni i szczęśliwi. Król wziął w objęcia pana Samuela i jako dzielnego rycerza go sławił.

A pani Anna Dorota w kaplicy zamkowej dziękowała gorąco Bogu za wolność swoją, za życie męża i całej załogi, za pokonanie wrogów.

Nie chwaliła się przed nikim, że to ona swem wystąpieniem, mądrem słowem i mężnem sercem ocaliła Trembowlę od zguby.

Ludzie jednak pamiętali o jej odwadze, po śmierci Anny Chrzanowskiej u stóp góry zamkowej wzniesiono na jej cześć piękny pomnik. A w roku bieżącym w d. 4 października, Trembowla uroczyście obchodziła 250-tą rocznicę tego pamiętnego dnia.



Dlaczego liście w jesieni żółknieją?

Zanim wam powiem dla czego liście żółkną w jesieni musicie wprzód dowiedzieć się dla czego w lecie są one zielone.

Kto z was uczy się botaniki ten wie, że każda istota żyjąca, każda część tej istoty składa się z niezliczonej ilości pojedyńczych komóreczek, które pod szkłem bardzo powiększającem zwanem: mikroskopem, doskonale widzieć można, te komóreczki przecięte przypominają komórki w plastrach woskowych miodu.

W każdej komórce jest jąderko i sok komórkowy. W soku komórkowym w liściach znajdują się też ciałka zielone wytwarzające się pod wpływem światła słonecznego. Te części rośliny, które nie są wystawione na światło słoneczne tych ciałek zielonych nie mają — jak naprzykład korzenie.

Na wiosnę kiedy roślinka wydobywa się z ziemi, albo listki rozwijają się z pączka, są blade, dopiero pod wpływem słońca nabierają coraz silniejszej barwy zielonej; w lipcu, gdy słońce świeci najsilniej, a rośliny są w pełnym silnym rozwoju życia, barwa ich jest mocno ciemno zielona.

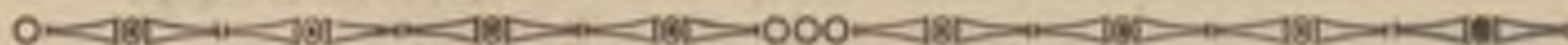
W każdem zielonem ciałku komórki znajdują się dwa barwniki: zielony, chlorofil i żółty: ksantofila. Gdy prze-

waża chlorofil roślina jest zdrowa i silna, gdy przeważa ksantofil liść żółknie, choruje, ginie i opada.

W jesieni soki odżywcze w komórkach krążą słabiej, w liściach przestaje się wytwarzać barwnik zielony, pozostają w nich tylko niepożyteczne wydzieliny, czyli pozostaje barwnik żółty. To zanikanie barwnika zielonego jest przyczyną, że liść traci barwę zieloną i żółknieje.

Żółknienie liścia odbywa się albo od końca liścia ku nasadzie, albo też zielony liść dostaje żółtych plam, które powiększają się aż liść zżółknie zupełnie. Nieodżywiany pożywnym sokiem liść usycha, brunatnieje i zupełnie odpada od gałęzi.

Przez zimę soki prawie nie krążą w roślinie, roślina wypoczywa i nabiera sił do nowego życia, które w następnym rozwinie się roku.



J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

— To zły znak, rzekł Józio, pamiętacie co Chojko opowiadał, że jak w czasie burzy, jakiemu rybakowi, pokaże się taka niby łódź, z takim niby rybakiem, to on już do domu nie wróci. To i my pewno zginiemy.

— Bajki, bajki, ludzie plotą, rzekł Stef, pomyśl tylko sam, Józiu, że jeśli jaki rybak nie wrócił do domu i zginął na morzu w czasie burzy, to jakim cudem mógłby opowiadać, o tem co mu się przed śmiercią pokazało?

— A przecie Chojko mówił, że to prawda, powtarzał tamten i wybuchnął płaczem. Ja mówiłem, że nie trzeba siadać do cudzej łodzi, mama prosiła, żebyśmy nie jeździli bez niej po morzu, wołał, a Antek mnie gwałtem wciągnął.

— Do mamy, do mamy, ja chcę do mamy, płakała Krysia.

Tosia tuliła maleńkę mówiła, że zaraz wiatr się

zmieni i oni wrócą, pokazywała jej śliczną srebrną mewę latającą po nad ich łodzią, ale nie wiele to pomagało.

Antek z niepokojem patrzał na Stefa, szukając u niego ratunku.

Ale i przyjaciel serdeczny nic tu poradzić nie mógł. Siedzieli tak bezradni wszyscy w łodzi Tosia wynalazła w koszyczku jakiś owoc i uspokoiła Krysię i Józia.

— Co ty robisz, Stef, zawołał Antek, widząc, że tamten wychylił się z łodzi i coś łowi w wodzie.

— Patrzcie, co do nas przypłynęło, odrzekł Stef, pokazując wydobyty z wody przedmiot.

— Wiosło, wiosło, wołali wszyscy z radością, a Stef oglądając je mówił.—Teraz możemy już spokojnie myśleć o powrocie, tylko nie wiadomo w którą stronę mamy się zwrocić by dopłynąć do brzegu. Antku, masz swój kompas*)?

Antek zajrzał do jednej i drugiej kieszeni, przeszukał je starannie, ale kompasu ani śladu.

— Zapomniałem, rzekł zmieszany, wziąć go z domu.

— Trzeba sobie i bez tego radzić, mówił spokojny Stef i jako zręczny wioślarz, zabrał się zaraz do roboty.

Cóż kiedy nowa bieda Zerwał się nagle silny wicher i wzburzył spokojne dotąd morze. Chmury ciemne pokryły niebo, w oddali huczały grzmoty.

— Boże, co z nami będzie! zawołały przestraszone dzieci.

— Cicho, cicho, spokojnie siedzieć, rzekł Stef, widząc, że i Antek nie mogąc ukryć targającego go niepokoju ukrył twarz w dłoniach, zobaczycie, że niedługo przybijemy do brzegu.

— Ale do jakiego? zapytał Józio, przecie my nie wiemy, dokąd płyniemy, kto wie dokąd nas fale zaniosą. Może do Szwecji, albo i do Niemiec?

— A może my dopłyniemy do jakich wysp, gdzie będą dzicy ludzie, powiedział Tadzio, żądny przygód. Ot to by było ciekawe.

Oślepiająca błyskawica rozjaśniła ciemności, uderzył

---

*) Przyrząd potrzebny bardzo marynarzom. Są na nim oznaczone 4 główne strony świata. Główna wskazówka strzałki zwraca się zawsze czarną połową ku północy, białą—ku południowi. Mając kompas w ręku podróżni określają kierunek swej podróży.

piorun, wzburzone bałwany morskie podniosły wysoko małą łódź, zakręciły z nią w miejscu, potem rzuciły na białe spienione grzywy fal. Stef ledwo zdołał utrzymać równowagę.

Krzyk dzieci rozległ się w powietrzu, zagłuszony hukiem rozszalałych fal.

— Módlmy się, zawołała Tosia, tylko Bóg może nas ocalić. I głośno zaczęła mówić: —Pod Twoją obronę.

Deszcz lał rzęsisty. Młodsze dzieci skupiły się przy Tosi, Antek zdjął kurtkę i okrył Krysię.

Modlili się wszyscy gorąco. Kończyli właśnie ostatnie słowa modlitwy, gdy znowu błysnęło i Stef zawołał: — Ziemia!

Zręczny chłopak powoli dobijał do brzegu, sam nie wiedział gdzie są, bał się by fale nie uderzyły łodzią o skały, wolał więc ostróżnie przybijać do lądu.

— Sprobuj wiosłem, rzekł Antek, jeśli nie głęboko, to wyskoczę i łódź wciągnę.

— Jeszcze, jeszcze nie, zatrzymywał tamten, a tymczasem burza już się uspokajała. Grzmoty coraz były dalsze, chmury rozsuwały się szybko, coraz było jaśniej i Antek już wyraźnie widział skalisty, stromy, nieznany brzeg.

Nie namyślając się dłużej, skoczył na równe nogi ...

I o zdumienie! oczom własnym wierzyć nie chce.... Toć że on wyskoczył nie z łodzi, lecz z własnego tylko łóżka. A ta cała przygoda, to tylko sen.... *(d. n.)*

